



Jenga

I

Później zapamiętałem jeden z tych wieczorów, kiedy Gala jeszcze żyła. Graliśmy wtedy w jengę na dachu mojej kamienicy. Mieszkalem na trzecim piętrze, budynek stał na Cybulskiego, a z góry widać było Wyspę Słodową. Oficjalnie na dach nie można było wchodzić, dlatego kryliśmy się z tym jak para nastolatków, szukająca odrobiny intymności. Na górze śmierdziało spalinami i blachą, a w letnie wieczory komary zdawały się mścić za wszystkich poległych współbraci, jednak panorama miasta, barwy nieba, zamykające ją u góry i nasza skóra, rumieniona promieniami słońca podczas zachodu, sprawiały, że lubiliśmy tam przychodzić. W noc, w którą zabrałem tam Galę po raz pierwszy, ładnych kilka lat temu, kochaliśmy się pod księżycem w pełni. Wezwano policję i musieliśmy uciekać do mojego mieszkania.

Teraz tylko piliśmy wino i powtarzaliśmy znane nam kwestie, tworząc z nich, jak anagramy, nowe rozmowy.

– Tu nie chodzi o to, że nie możemy poczekać – powiedziała tuż przed moim ruchem. – Chodzi o to, że moje ciało nie poczeka. Z biologią nie wygrasz.

Gdybym nie widział, jak bardzo jest dojrzała i jak poważnie traktuje temat dziecka, pomyślałbym, że zrobiła to tylko po to, by mnie zdekoncentrować. Ręka mi drgnęła i cała konstrukcja rozsypała się.

– Najlepsze lata na zostanie matką i tak mam już za sobą – dodała jeszcze.

Zawsze rozmawialiśmy po francusku, ale przy takich kwestiach umykał gdzieś czar tego języka.

Gala miała niezwykle talent do poruszania tego typu tematów w najmniej oczekiwanym momencie. Potrafiła zniweczyć każdą chwilę, w której

możliśmy złapać oddech. Pobyć razem, zapominając o pracy, o długich dniach rozłąki, o wszystkim, czego nie chcieliśmy pamiętać. Zawsze, kiedy się o to kłóciliśmy, mówiła, że problem nie leży w tym, że ona wybiera złe momenty, ale w tym, że dla mnie żaden z nich nie jest odpowiedni.

Patrzyłem wtedy na jej pociągłą twarz. Wylaniała się jak z dziupli, spośród prostych, czarnych włosów. Przypominała szkice sporządzone przez projektantów mody. Cała jej figura sprawiała wrażenie nierzeczywistej. Zbyt kanciastej i zbyt zgrabnej. Oparta na wyprostowanej ręce, półleżąc z nogami podwiniętymi na boku, wyglądała jak rzeźba, której twórca nieopatrznie strzaskał zbyt dużo materiału. Jak syrena usychająca na lądzie. Urok tej kruchości był powalający.

– Przecież nigdy nie powiedziałem nie – odrzekłem słabym głosem.

– Nie, nie powiedziałeś. – Straciła resztkę ustawionych na sobie klocków, jak dziecko, kiedy coś dzieje się wbrew jego woli. – Nie mówiłeś „nie”. Mówiłeś tylko: „nie teraz”.

Odwróciła się i nalała wino do kieliszka, wypijając je zaraz duszkiem.

– Musisz zdecydować – powiedziała, nie patrząc na mnie. – Albo teraz, albo wcale.

Wyjąłem lampkę z jej dłoni i odłożyłem na matową blachę. Przysunąłem się. Była nieruchoma, gdy odgarnąłem włosy z jej twarzy. Gdy zsunąłem z ramienia bluzkę. Pachniała rozgrzaną skórą i nikłym aromatem bergamotek. Wciąż nie poruszała się, gdy wtuliłem twarz w szyję. Dopiero kiedy zbliżyłem usta do jej ust, odwzajemniła pocałunek.

II

Folia bąbelkowa – to pierwsza rzecz, która przychodzi mi do głowy tamtego dnia. Jej struktura, miękkość i opór, jaki stawia palcom, gdy przycisnąć ją mocniej. Czuję je. Już kiedy otwieram oczy, zaraz po przebudzeniu. Jakby całe moje ciało zostało nią obłożone. Każdy przedmiot, którego dotykam. Który istnieje.

A więc stało się.

Dryfuję w stronę łazienki, by sprawdzić, czy moje ciało też się zmieniło. Przesuwam się nad podłogą, niczym łódka wypuszczona na spokojną wodę. Moje stopy są kilka milimetrów nad panelami. Kładliśmy je razem z Galą, kilka lat temu. Stawiam kroki, ale nie dotykam podłoża. Opór powietrza też jest inny. Waga mojego ciała. Jakby ktoś bawił się grawitacją.

Naciskam klamkę, a raczej usiłuję to zrobić, a ta porusza się, jeszcze zanim jej dotknę. Drzwi otwierają się. W lustrze naprzeciwko widzę swoją twarz. Jest trochę napuchnięta, ale może to z niewyspania. Dopiero po chwili, w tym odbiciu, rejestruję resztę otoczenia.

Wszystko zostało r o z d z i e l o n e.

Jest osobne.

Trwa ze sobą w pewnych odległościach. Nie dotyka się, nie koliduje. Ale też nie rozłącza się zupełnie. Jakby każda pojedyncza rzecz stała się elementem układu, podobnego do planetarnych, z własnymi zależnościami grawitacyjnymi.

I tak: lustro nie wisi na ścianie, unosi się w pewnej odległości od niej. Jego ramy również. Nie jest to już jeden przedmiot. Szklana tafla i cztery okalające ją do tej pory kawałki drewna są teraz osobnymi rzeczami. Podobnie kafle i fugi. Zlew, odpływ, kran, kurki. Kosmetyki. Szczoteczka do zębów i jej włosie.

Wszystko, co do tej pory składało się na rzeczy zbudowane z większej ilości elementów, teraz istnieje na własny rachunek. A jednak działa. Na przykład zegar, na ścianie za mną. Słyszę jego tykanie. Przeszkadzało Gali skupić się, gdy tego potrzebowała, jednak jego surrealistyczna aura, kształt płaszczyki z ustami Mae West, zachwycały ją za bardzo, by mogła go wyrzucić. Wolała wyciągać baterie.

Zbliżam się do lustra. Obraz, jaki się w nim pojawia, przypomina trochę smużący telewizor. Gdy patrzę na swoją twarz przychodzą mi do głowy impresjonistyczne obrazy, które widziane z daleka mają jednolitą strukturę, ale wystarczy przyjrzeć się płótnom z mniejszej odległości, by dostrzec, że to tylko ułudą. To, co wcześniej brałem za napuchnięcie, jest ledwo widocznym rozwarstwieniem. Moje odbicie wygląda jak namalowane przez Seurata.

Takie są moje dłonie, gdy unoszę je przed oczy. Stopy, gdy spuszczam głowę. Łazienka, sypialnia i miasto za oknem.

Po ulicy przejeżdża ciężarówka. Od klekotu jej kół na kocich łbach powinna właśnie zatrząść się stojąca na parapecie drewniana małpka Kaya Böjesena. Ale nic takiego się nie dzieje. Do tego hałasu można się przyzwyczaić. Tak bardzo, że jego brak intryguje. Jak dziura po świeżo wyrwanym zębie, którą ciągle chcemy macać językiem, choć wiemy, że nie powinniśmy.

Zbliżam czoło do szyby, ale nie mogę jej dotknąć. Na chodniku widzę ludzi. Z wysokości mojego mieszkania nie wydają się zmienieni. Jednak przyglądają się sobie nieufnie. Badają mury kamienic, płyty pod stopami, witryny sklepów. Gdy spoglądam dalej, dostrzegam samochody pozostawione na środku ulicy. Korki. Karetki i policję na sygnale. Syreny słyszać jakoś inaczej. Jakby emitowały inne niż dotychczas tony.

Zaczynam chodzić po mieszkaniu. Wszystko w nim wygląda teraz jak dzieło sztuki. Postanawiam obejrzeć własne prace, mając nadzieję, że to odmienienie nada im sznyt, którego były pozbawione. Który można jeszcze odnaleźć w katalogach z moich wystaw sprzed kilku lat, a który później zatracił się gdzieś zupełnie. Jednak pierwsze na co zwracam uwagę, gdy wchodzę do pracowni, to stół z miską owoców, karafką wody i nożem oraz sztaluga stojąca tuż przy nim. Kącik Gali, którą uczyłem malarstwa w zamian za wykłady z fizyki. To było, kiedy jeszcze żyła.

Teraz zaaranżowana tam martwa natura wygląda jak układana na pokładzie promu kosmicznego bez grawitacji. Jednak nie jest w bezwładzie. Układ, który tworzy ma swój sens i rządzi się konkretnymi prawami.

– Więc miałaś rację – mówię na głos, zdając sobie sprawę z tego, że mój głos brzmi obco, a samo mówienie przypomina wykonywanie czynności, której nie robiło się od bardzo dawna.

– Popatrz – powiedziała Gala, wchodząc do pracowni z komputerem. – Udało nam się.

Przystanęła obok mnie, pokazując ekran. Wyświetlał jakąś płataninę kolorów, która, pomimo tego, że Gala zawsze próbowała tłumaczyć mi, czym się zajmują, była dla mnie zupełnie niezrozumiała.

– Co? – spytałem.

– Jeszcze nie wiemy. – Uśmiechnęła się. Pachniała bergamotką. Na głowie miała zawiązaną w kokardę opaskę i brakowało jej tylko bluzki w paski, by każdy w Polsce mógł mieć pewność, że jest Francuzką. – To znaczy mamy hipotezę. To, co widzisz, to jeszcze nie dowód, ale potwierdzają się nasze wyliczenia.

– Nadal nic mi to nie mówi.

Wyświetliła jeszcze kilka innych obrazów, podobnych do tamtego, tłumacząc:

– Tak wygląda zwykła struktura powiązanych ze sobą cząstek elementarnych. A tutaj wyniki ostatniego testu. Wykorzystaliśmy do niego nowy akcelerator. Dostałam to właśnie od Marca.

Musiała zauważyć, że unoszę brwi, bo przewróciła oczami (sądząc pewnie, że tego nie widziałem).

– W porządku – powiedziała. – Może to rzeczywiście za wcześnie, by było widać jasno. Może gdyby zrobić to na większą skalę. Ale to naprawdę coś. Zmieniliśmy ich wzajemne oddziaływania w sposób, który nie powinien być możliwy.

– Kiedyś to wszystko rozpieprzycie – skwitowałem.

Zaśmiała się. Tym razem głośno.

– Boisz się, że ktoś cię wyręczy?

Znów musiałem unieść brwi, bo dodała:

– W rozpieprzaniu świata.

Nie pomogło.

– Nasze pierwsze spotkanie – wyjaśniła. – Twój wernisaż w Paryżu. Mówiłeś wtedy, że celem sztuki jest rozpieprzyć świat.

– Byłem młody.

Pamiętałem ten dzień. Pamiętałem ją. Nie wyróżniała się wśród zebranych. Jej styl zawsze bardziej pasował do wernisaży i bankietów niż naukowca z CERN. Przyprowadził ją Godard, fizyk, którego znałem z kilku innych wystaw. To, w jaki sposób się na nich zachowywał utwierdzało mnie w przekonaniu, że skrycie marzy o zostaniu artystą i nie próbuje tego wyłącznie z lęku przed reakcją swojego środowiska. Gala przyszła, bo jeden z moich obrazów przypominał jej dzerty hadronowe powstałe w wyniku kolizji protonów bozonu Higgisa. Myślałem wtedy, że wymyśliła to, by zaciągnąć mnie do łóżka. W tamtym czasie wiele studentek i początkujących artystek tego próbowało. Ale po niej nie spodziewałem się takich wybiegów. Jej zresztą wystarczyło tylko podejść i wziąć mnie za rękę, bym poszedł za nią gdziekolwiek.

– Dojrzała artyści mają więcej do powiedzenia – powiedziała, zamykając laptop. – Na następnej wystawie pokażesz, że dopiero się rozkręcasz – dodała jeszcze, co zabrzmiało już jak słowa otuchy dla chorego w fazie terminalnej.

Udawała, że nie widzi pustego płótna, przed którym stałem od kilku godzin. Tego, że nawet nie mam w ręce pędzla. Objąłem ją i zachciało mi się płakać. Wytrzymałem jednak.

– Zainstalowałem kamerę w twoim samochodzie – powiedziałem, uważając, by głos mi się nie załamał. – Ktokolwiek się do niego włamał, jeśli spróbuje tego ponownie, będziemy go mieli.

Pocałowała mnie w policzek.

– Kamera łączy się z Internetem – dodałem. – Nagrania lądują na moim komputerze. Jeśli znów znikną papiery, nawet jeśli cały zniknie samochód, będziemy wiedzieć, kto to zrobił.

– Mam nadzieję, że nic takiego się nie stanie – odparła i ruszyła w stronę drzwi. – Nie siedź do późna – powiedziała jeszcze. – Nie dzisiaj. Zaczyna mi się owulacja, a jutro muszę wracać do Genewy. Wyjeżdżam rano. Zostają nam dwa, trzy strzały. Postaraj się.

Mrugnęła do mnie i wyszła. Jej zapach wciąż unosił się w powietrzu. Dźwięk zamykanych drzwi wypełnił przestrzeń i wydawało mi się, że rezonuje przez kilka minut, w czasie których stałem bez ruchu, powstrzymując łzy.

Dopiero później, w łazience przed lustrem, trzymając w ręce strzykawkę, nie wytrzymałem. Kiedy igła przebiła ramię, rozplakałem się jak małe dziecko, które mama zwabiła do pielęgniarki, obiecując wycieczkę na lody.

IV

– Chodzi o to, co przekazała panu Gala – mówi Marc, a ja patrzę na jego usta. Z tej odległości wyglądają na ostrzyknięte botoksem. Całą twarz ma taką. Całe ciało.

Podobnie, jak ja. Jak wszyscy w pokoju.

Przyzwyczailem się już do tego, że otoczenie wygląda inaczej. Że wszystko jest oddzielnie. Ale ta zmiana zaszła niedawno. Po niej przedmioty i ludzie zaczęły wyglądać jak zbudowane z kryształowych bryłek, z których każda zawiera fragment danej rzeczy, ale, choć bryłki przylegają do siebie ściśle, między fragmentami pozostają wolne przestrzenie. Nie grubsze od włosa, jednak widoczne. Jakby Seurat stawiał swoje kropki rzadziej.

Marc przestępuje z nogi na nogę. Po wypadku stanie musi sprawiać mu trudność. Jego ruchy straciły dawną grację, ale reszta się nie zmieniła. Nosi szylkretowe okulary, model clubmaster. Gdy zobaczyłem go pierwszy raz, wydawało mi się, że tylko udaje naukowca. Jego ubranie zbyt dobrze na nim leżało. Zbyt dobrze miał dobrane detale. Bardziej przypominał modela stylizowanego na intelektualistę. I tylko obrączka nie pasowała do tego obrazu.

– Skąd pomyśł, że w ogóle coś od niej dostałem? – pytam i widzę jak reagują na to pozostali. Już to słyszeli. Jeszcze zanim przywieźli mnie do Genewy. Ich imion nie pamiętam. Dwójka fizyków: wysoka kobieta po czterdziestce, której wygląd przywodzi na myśl papierosy i otyły facet, w okularach z grubymi szklami, będący odwrotnością Marca – o ile tamtego nie każdy wziąłby za naukowca, temu brakowało tylko rozwichrzonej czupryny, by dopełnić stereotypowego wizerunku.

– Mówię to z trudem – kontynuuję – ale przed jej śmiercią nie byliśmy w zbyt dobrych stosunkach. – Tak naprawdę teraz mówi mi się o tym łatwo.

To, co zaplanowałem przyniosło mi ulgę, jednak strata Gali i okoliczności, w jakich do niej doszło wciąż tkwią we mnie. Jak rak płuc, którego się nie czuje.

Po tych słowach w pokoju zapada cisza. Na policzku Marca dostrzegam ruch. Tik, podobny do próby poruszenia uchem. Moje ciało reaguje na to jak na kostkę lodu wrzuconą za kołnierz.

Myślałem, że zabiorą mnie do CERN. Że zobaczę to miejsce od środka. Jednak teraz siedzimy w prostym pokoiku w hotelu na przedmieściach Genewy, przy francuskiej granicy. Za oknem nie widać gór, ale klimat i tak jest urlopowy.

– Panie Kilianie – zwraca się do mnie jeden z pozostałych, ten z niewielką nadwagą. W jego ustach pełnych francuskiego akcentu moje imię brzmi obco. Czuję się jak szpieg udający kogoś innego. – Panie Kilianie, sprawa jest, by tak rzec, gardłowa. Nie możemy pozwolić sobie na zwłokę. Pracujemy obecnie nad odwróceniem... – milknie na chwilę, szukając pewnie odpowiedniego słowa – odwróceniem procesu, zapoczątkowanego przez nasze badania. Konkluzje pana żony mogą być dla nas bardzo pomocne.

Rozglądam się dookoła.

– Czy usiłuje pan powiedzieć – mówię – że nie macie pojęcia, skąd wziął się cały ten pieprznik i co gorsze, nie macie też pojęcia, jak to wszystko odkręcić?

Chrząka.

– Jak już powiedziałem – unika odpowiedzi – konkluzje pana żony mogą być bardzo pomocne. – Gdy kończy, ściąga okulary i przeciera je o koszulkę.

– No to tym bardziej przykro mi, że nie mogę państwu pomóc – odpowiadam.

Patrzą na Marca, jednak ten nie odzywa się. W końcu na przód wysuwa się kobieta.

– Więc czego pan chce? – pyta i wyciąga papierosa. Cienkiego chesterfielda, z paczki, którą trzyma w etui zasłaniającym ostrzeżenia o szkodliwości palenia.

Ruchem głowy wskazuję jej czujnik dymu. Kobieta robi kwaśną minę, chowa zapalniczkę, którą też zdążyła już wyjąć ale papierosa nadal trzyma w dłoniach, rolując, jakby właśnie go skręciła.

– Proszę powiedzieć, jaka jest pana cena – dodaje jeszcze.

Celowo przedłużam milczenie do kilku minut. Ich twarze tężeją. Choć są zmienione, jak twarze wszystkich po tym, co się stało, w mimice wyraźnie widać napięcie.

– Dobrze – mówię – może uda nam się dogadać.

V

Gala pakowała swoje rzeczy do walizki, a ja czułem się tak, jakbym był na miejscu tego bagażu, patroszony przez nią bez znieczulenia. W jej ruchach, całej jej postawie, był chłód i wyrachowanie. Metodyka masowych straceń.

Wszystkie ubrania i należące do niej przedmioty leżały teraz rozłożone na łóżku, a ja obserwowałem jak, skupiona, układa je w milczeniu.

Atmosfera w mieszkaniu była gęsta. Jak w horrorach, w tych scenach, w których pojawia się duch. Byłem pewien, że temperatura spadła. Aż dziwiło mnie, że z naszych ust nie unoszą kłęby pary.

Strzykawki z progestinem leżały porozwalane po podłodze, upodabniając nasz salon do narkomańskiej meliny w czasie policyjnego nalotu. Nie wiem, jak je znalazła. Kiedy wróciłem do domu, zaczęła po prostu nimi we mnie rzucać.

– Zmarnowałeś mi dziewięć lat życia – to wszystko co powiedziała. Nie krzyczała.

– Muszę mieć kolejną wystawę – odparłem, jakby to miało wyjaśnić sprawę. – Wypadam z obiegu i muszę coś zrobić.

Nie odzywała się już. Po prostu zaczęła pakować walizkę, jakby czekała z tym na mnie.

Mogła przypuszczać, że nie udaje jej się zająć w ciążę z mojej winy. Namawiała mnie na test płodności. Sama też go zrobiła. Wynik był w porządku. Ale nie mogła domyślać się, jaka jest prawda.

Zastrzyk brałem raz na trzy miesiące, domięśniowo. Załatwiałem je na lewo. Środek zresztą nie wszedł jeszcze do oficjalnego obiegu. Większym problemem był poziom testosteronu, który iniekcje obniżały. Ale na to też znalazłem odpowiednie środki. Potrzebowałem tylko kilku miesięcy, by odbić się od twórczego marazmu, w jaki popadłem w ostatnich dwóch latach. Może roku. Nie było sensu robić z tego afery. Gala miała nawet nie zauważyć.

Gdy zamknęła walizkę, postawiła ją na podłodze, wysunęła rączkę i ruszyła w stronę wyjścia. Nie trzasnęła drzwiami. Nie odezwała się.

Kiedy zostałem sam, z nikłym zapachem bergamotek, miałem wrażenie, że ściany budynku wałęsały się na mnie.

VI

– Nie wiecie, co się tu dzieje, prawda? – pytam Kobietę-Papieros. Nadałem jej taki przydomek i teraz tak nazywam ją w myślach. Wyglądamy przez okno. Szyba przypomina przezroczystą siatkę. Jej struktura nie jest jednolita, ale trudno to dostrzec. Dopiero kiedy pada deszcz, jak jeszcze przed godziną, rysują się na niej drobnutkie oczka, na których woda układa się w kształty zupełnie nieprzypominające tych, jakie znamy. Choć wydaje się, że tafla szkła jest dziurawa, ani woda, ani powietrze nie przedostają się do środka. Jakby wiedziały, że im nie wolno. Gdy na taką szybę padają promienie słońca, refleksy które na niej powstają, są jak halucynacje po psylocybinie.

Przed hotelem stoją dwie policyjne furgonetki i jeden wojskowy wóz. Pancerny, z żołnierzem opartym o jego bok, w taki sposób, że bardziej wygląda to na sesję zdjęciową niż poważne działania. Ale to dzieje się naprawdę. Wojsko i policja na ulicach są nieustannie. W odróżnieniu od cywilów. Tych zgrupowano w tymczasowych ośrodkach i zabroniono

swobodnie poruszać się poza ich obszarem. Tylko dziś w czternastu takich miejscach w Europie wybuchły zamieszki. Gdyby nie przepustka od Marca, mógłbym być w jednym z nich.

– Rząd Korei Północnej postawił ultimatum prezydentowi Stanów Zjednoczonych – powiedziała rano spikerka w serwisie informacyjnym, zanim Kobieta-Papieros wyłączyła telewizor. Patrzenie na ekran jest teraz równie fascynujące, jak szyby w deszczowe dni. Jak każda rzecz, którą znamy, bo przez ich odmienność każdą z nich możemy oglądać z zachwytem dziecka, które widzi coś po raz pierwszy w życiu. – O Efekt Lego, jak nazywa się ostatnie anomalie, nad których przyczyną i charakterem spór wiodą czołowi naukowcy świata, Pjongjang oskarża USA. – Po tych słowach na ekranie pojawiła się plansza z tekstem, a męski głos, przesadnie intonując słowa, odczytał: „Demokratyczny lud Republiki Koreańskiej nie da się zastraszyć imperialistycznym zakusom zachodu. Żądamy kategorycznie, by odpowiedzialni za ostatnie wydarzenia zbrodniarze, z rządem Stanów Zjednoczonych na czele, przyznali się do swoich czynów i ponieśli konsekwencje. Jeśli odpowiednie kroki nie zostaną podjęte w ciągu kolejnych dwóch dni, będziemy zmuszeni rozpocząć działania odwetowe z całą konieczną do tego siłą”.

– Nie wiecie? – powtarzam, w odpowiedzi na jej milczenie.

– Proszę nie brać tego do siebie, ale nie zrozumiałby pan, gdybym próbowała to wyjaśnić – odzywa się wreszcie.

– Einstein powiedział, że jeśli nie potrafisz wyjaśnić czegoś w prosty sposób, to niewystarczająco to rozumiesz.

Uśmiecha się. Wyciąga z paczki papierosa i zapala go, jeszcze przed wyjściem na balkon.

– Miał rację – słyszę, zanim szczególnie zapalniczka. Przez chwilę słysząc hałas z zewnątrz. Krótką syrenę. Wykrzykiwane komendy.

Gdy drzwi balkonu zamykają się za nią, do środka wchodzi Gruby. Tak nazywam tego, który mógłby grać naukowców w tanich sitcomach.

– Musimy opuścić hotel – mówi – zamykają go. Proszę spakować swoje rzeczy. Przeniesiemy się do ONZ.

Wyciągam z szafy walizkę, w której wciąż trzymam wszystkie ubrania i po chwili wrzucam do niej zabraną z łazienki kosmetyczkę. Sprawdzam jeszcze kontakty w poszukiwaniu ładowarki, zaglądam pod łóżko, by upewnić się, że niczego nie zostawię. Widzę tam monetę, która wydaje się lewitować. Była już, kiedy się wprowadziłem.

– Wyjaśnienia to jeden z moich warunków – mówię do Grubego, korzystając z okazji, że jest bez Kobiety-Papierosa. Bez niej czuje się mniej pewny. Nie wie, co może zdradzić, a o czym nie powinien wspominać. – A wciąż ich nie usłyszałem.

Gruby chrząka, zdejmuje okulary i przeciera je koszulką.

– To nie takie proste – zaczyna.

– Powtarzacie to zbyt często.

– Tak, w rzeczy samej.

Milknie. Z powrotem wkłada okulary. Jestem pewien, że wyraz, jaki rysuje się teraz na jego twarzy, to ten zarezerwowany dla wyciągania wniosków z nieudanych eksperymentów. – Chodzi o to, że to, co się dzieje, to problem bardzo złożony – mówi. – Weźmy chociaż nasz metabolizm. Kiedy jadł pan ostatnio?

Chcę się odezwać, ale Gruby ciągnie temat, nie dając mi nawet chwili na odpowiedź:

– Pewnie wcale, odkąd wszystko się zaczęło – stwierdza i ma rację. – Współpracujący z nami biolodzy nie potrafią tego wyjaśnić, ale wydaje się, że ani woda, ani pokarmy nie są nam już niezbędne do życia. Zresztą trudno byłoby jeść w takim stanie. Rzeczy oddziałują na siebie tak, że fizycznie się nie dotykają, a jednak akcja jednego względem drugiego, powoduje reakcję. To coś jak pole grawitacyjne. Jak wiązania atomu. Choć nasze ciała wydają się, nazwijmy to, poszerzone, wprowadzanie czegoś do nich jest dość kłopotliwe, o czym na początku przekonano się w szpitalach, usiłując podawać pacjentom leki. Proszę też popatrzeć na ludzi. Jedna osoba nie może już dotknąć drugiej. Może zbliżyć do kogoś dłoń. Ten ktoś poczuje nawet coś, co kiedyś byłoby dotykiem, jednak teraz to tylko siły ukierunkowane w stronę, w którą sięga ta dłoń. Prokreacja więc wydaje się wykluczona. Podobnie oddziałują na siebie też inne przedmioty. Nie

dotykają się. Próbowaliśmy to badać, ale wygląda na to, że wszystkie znane dotychczas prawa fizyki właśnie się zdeaktualizowały. Obserwowane przez nas zjawiska wynikają z nich oczywiście i na ich podstawie dają się opisywać, ale również można z nich wysnuć, że żadna z tych rzeczy nie powinna się wydarzyć. Do tego urządzenia. Niektóre działają, inne nie. Prąd płynie. Fale radiowe, sygnały cyfrowe, Internet – nie ma z tym problemu. Odbiorniki wyglądają inaczej, ale pracują bez zarzutu. Jest jeszcze wiele rzeczy do sprawdzenia. – Kończy i uśmiecha się, jakby właśnie został przyłapany na bezprawnym parkowaniu na miejscu dla inwalidów. – Proszę okazać jeszcze trochę cierpliwości – dodaje. – Kiedy zbierze się zespół, będziemy mogli powiedzieć więcej i jaśniej.

Kiedy Kobieta-Papieros wraca do pokoju, Gruby informuje ją:

– Musimy opuścić hotel.

– Jestem już spakowana – oznajmia.

– Dobrze. Samochód będzie czekał na dole za trzydzieści minut.

Kobieta potwierdza skinieniem głowy i kieruje się do wyjścia.

– Wezmę pana bagaże – zwraca się Gruby do mnie.

– To miło, dziękuję – mówię i rzucam w jego stronę monetę, którą wyjąłem spod łóżka. Pieniądz zatacza łuk, a Gruby odruchowo wyciąga rękę, żeby go złapać. Jednak tuż przed tym, kiedy ma to zrobić, moneta zmienia trajektorię, jakby ktoś odbił ją raketką pingpongową i ląduje koło jego nogi, kilka milimetrów nad dywanem.

– Nie będziecie w stanie mi niczego wyjaśnić, bo nie macie pojęcia, co się tutaj dzieje – stwierdzam.

– Nie wszystko da się wyjaśnić od razu – odpowiada. Nie schyla się po monetę. Łapie moją walizkę, a ją zostawia tam, gdzie leży.

VII

– Który to miesiąc? – spytałem Galę, nie patrząc na nią. Siedzieliśmy oddzielnie. Ja przy stole, z rękami wspartymi o blat, ona za mną, na fotelu w rogu. Pewnie wzrok też miała skierowany gdzie indziej.

– Trzeci – odpowiedziała cicho.

Musieliśmy wyglądać jak postacie z obrazów Hoppera. Jak to małżeństwo z płótna „Pokój w Nowym Jorku”. Oddalający się od siebie. O s o b n i.

– A co na to Marc?

– Jeszcze mu nie powiedziałam.

Parsknąłem, jakbym był na drodze, a kierowca z pasa obok wjechałby przede mną, nagle, bez kierunkowskazu.

– Ojciec chyba powinien wiedzieć wcześniej – stwierdziłem.

Milczała. Długo. Tak bardzo, że musiałem odwrócić się i popatrzeć na nią. Była bledsza, ale na jej twarzy nie było emocji. Jak na woskowej masce. Gipsowym odlewie, który ściąga się ze zwłok.

– Zabiorę swoje rzeczy jutro – powiedziała, wciąż patrząc w podłogę.

– Nie musisz. Możesz zostać, dopóki nie wrócisz do Genewy.

Uniosła głowę. Kąciki jej ust skierowały się lekko w górę. Przejeżdżający pod oknem samochód przyhamował ostro, jakby ktoś wyskoczył kierowcy przed maskę.

W jej oczach było wszystko. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, czy kogoś miała przez tych kilka miesięcy, w których nie byliśmy razem. Mogłem się tego domyśleć. Jej wzrok mówił teraz, że powinienem. Mówił też, że od razu mogliśmy założyć, że nie wyjdzie nam za drugim razem. Ale nie żałuję, że spróbowaliśmy.

– Nie wracam już do Genewy – oznajmiła, z beznamiętnością równą tej, z którą wypowiadała wszystkie poprzednie kwestie. – Nie jestem już w zespole.

Uniosłem tylko w zdziwieniu brwi, jak wtedy, kiedy próbowała mi opowiadać szczegóły tego, czym się zajmują.

– Nie wracam też do Marca.

Odgłosy ulicy wzmożyły się. Jakby rzeczywiście, jak u Hoppera, ktoś kadrował nas zza okna.

Wstałem i podszedłem do barku. Wyjąłem butelkę wina, które przywieźliśmy kiedyś z Portugalii.

– Napijesz się? – spytałem.

Zrobiła minę, jaką musiałby zrobić ślepiec, spytany o kolory na obrazie, który wisi przed nim.

– No tak – skwitowałem i wyciągnąłem korek. Nalałem pełny kieliszek. Wypiłem duszkiem. Gdy wyrzucona przeze mnie butelka rozbiła się o podłogę, Gala drgnęła. Na chwilę jej bezemocjonalność pękła.

Trzask szkła był głośny, ale zagłuszony przez samochody. Dźwięk zaczął się nagle i nagle skończył i to musiało być w nim przerażające. Zbyt podobne do ludzkiego życia. Czerwień rozlewająca się po panelach odbijała światło żarówki. Ściana przy niej wyglądała jak dekorowana przez Pollocka.

– Znasz obraz Vermeera „Dziewczyna czytająca list”? – spytałem, odstawiając kieliszek. – Jego kompozycja jest niezwykle kunsztowna, wykonanie perfekcyjne. Badania płótna wykazały, że Vermeer wiele razy poprawiał ten obraz. Zmieniał go, by to osiągnąć. Zamalowywał pewne elementy i dodawał nowe. Zajęło mu to prawie dwa lata. Takie rzeczy wymagają czasu.

– Nie wracam do Genewy, ale wracam do Francji – powiedziała, wstając. – Jutro spakuję swoje rzeczy.

Podeszła do mnie. Odwróciłem się w jej stronę i staliśmy tak chwilę, naprzeciw siebie, jak przed ostatnim tańcem. Czułem zapach jej skóry, ale nie czułem bergamotek. Dopiero po chwili zobaczyłem, że trzyma coś w dłoni.

– Weź to – oznajmiła, wkładając mi do ręki pendrive’a. – Z projektem dzieje się coś niepokojącego. Nie wiem, komu mogę tam zaufać. I jeśli komuś mogę, nie wiem, czy uda nam się skontaktować. Dlatego potrzebuję, byś przekazał to Godardowi, jeśli ja nie będę mogła. Powiem wtedy, kto powinien to dostać. On będzie wiedział, jak dostarczyć te dane.

Wróciła do fotela po torebkę i ruszyła w stronę wyjścia.

– Kiedy to się skończy, może przyjadę – powiedziała jeszcze w drzwiach.

To trwa tylko chwilę. Twarz Gali zmienia się. Ze wściekłej staje się zaskoczona. Potem nabiera wyrazu przerażenia. Mija kilka sekund i Gałę wbija w siedzenie, by zaraz potem wypełnił się nią cały kadr. Lecą odłamki szkła. Gala znika. Na fotelu pasażera zostaje but. Kolorowa espadryla na płaskim obcasie. Jednak na ekranie nie widać barw. Nakładają mi się na te końcowe klatki w pamięci. Za każdym razem, kiedy na nie patrzę.

Wydarzenia rozgrywają się w ciszy. Na nagraniu nie ma dźwięku.

Tym razem wygląda inaczej. Nie oglądałem go po tym, kiedy wszystko się zaczęło. To pierwszy raz. Ekran wydaje się pokryty gęstą siateczką. Liniami cieńszymi od włosa. Jednak te przerwy są jego częścią. Wyświetlają to samo, co reszta.

To już koniec filmu. Widać Marca, lekko odurzonego po wypadku, patrzącego przez zbitą szybę. Po jego głowie ścieka krew.

Wcześniej odpiął Gali pas bezpieczeństwa. Wcześniej rozmawiał z nią. Żeby wiedzieć o czym mówią, musiałem skontaktować się z facetem czytającym z ruchu ust. Powiedziałem mu, że to artystyczny projekt, a dialogi były improwizowane. W filmie padł dźwięk i teraz potrzebujemy wiedzieć, co mówią aktorzy, by nałożyć postsynchrony.

Facet miał problemy ze słuchem. Muzykę, którą puszczał, słychać było już na klatce schodowej. Ale zrobił to szybko i o nic nie pytał. Już na drugi dzień dostałem kartkę z zapisem rozmowy.

Mam ją teraz przy sobie. Odczytywałem kwestie w odpowiednich momentach. Na przykład niedługo przed tym, kiedy Marc rozpędził samochód i wjechał w drzewo, Gala powiedziała:

– Usunęli mnie z zespołu.

Policzek Marca drgnął, jakby ten próbował poruszyć uchem. Przez jakość filmu mogło to zostać niezauważone, ale ja już każdy kadr znam na pamięć.

– Mam żonę. Dziecko – odparł jej. – To musi się skończyć.

– Usunęli mnie z zespołu i to ty za tym stoisz – kontynuowała. – Z kim się dogadałeś? Co chcesz zrobić z naszym projektem?

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków.

Zanim znów się odezwała, jej usta ścisnęły się, jakby były imadłem mającym ścisnąć gniew. Stłumić go. Nie wybuchała łatwo, ale w tamtym momencie było już blisko.

– Przyznaj się, co chcesz zrobić? – odezwała się i miałem pewność, że jej głos jest podniesiony. – Kto się tym interesuje? Dlaczego? Odpowiedz!

Wtedy Marc przyspieszył. Widać to wyraźnie, choć nagranie jest niskiej jakości. Łapie kierownicę dwoma rękami. Wygląda na spiętego. Drzewa za oknem przesuwały się coraz szybciej.

Reszta trwa tylko chwilę. Dyskretny ruch w kierunku przycisku zwalniającego pas. Skręt kierownicy. Twarz Gali, na której rysują się kolejno: wściekłość, zaskoczenie i strach. Później szkło. Leżący na siedzeniu but.

Gdy patrzę teraz na Marca, ponownie zauważam ten ruch policzka. Jego twarz wygląda jak ułożona z kostek lodu, w których zamrożono składające się na nią fragmenty. Jego wzrok wbity jest w ekran, jakby próbował wymazać nim wyświetlany film. Zniszczyć go. Spojrzenia pozostałych kierują się w jego stronę.

W sali konferencyjnej jest jeszcze ta dwójka, która była z nami w hotelu, oraz Godard i piątka innych naukowców, dwie kobiety i trzech mężczyzn, których imiona i twarze zapomniałem zaraz po tym, kiedy zostali mi przedstawieni.

– Dość tego – mówi Marc, stanowczo, wciąż patrząc na ostatni kadr filmu, zamrożony na ekranie: swoją twarz, zalaną krwią i z wyrazem dziecka spychającego szklankę ze stołu i dziwiącego się później, że spadła.

Ten obraz wyświetla się teraz na każdym włączonym telewizorze. Na serwisach wideo w Internecie. W gabinetach głów państw. Taki był mój warunek. Publiczne wyjaśnienia. Konferencja, którą emitować będą mogli wszyscy. Zgodzili się, bo jeszcze wierzą w to, że dzięki wyliczeniom Gali uda się im odwrócić to, do czego doprowadzili.

– Dość tego – powtarza. – Zgodziłem się na to wszystko w dobrej wierze, bo teraz powinniśmy próbować każdego sposobu. Ale ty chyba nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji. – Marc wstaje i mierzy we mnie palcem. W innych okolicznościach wyglądałoby to zabawnie. Jak odbicia z gabinetu

luster, w którym ktoś potłukł zwierciadła. – Racysz nas jakimś melodramatem swoich osobistych problemów – ciągnie – insynuujesz rzeczy, do których nawet nie wiem, jak się mam odnieść, tak są absurdalne, a przecież my teraz powinniśmy działać. Powinniśmy sprawdzać każdy trop. Zacząć od tego, co przekazała ci Gala.

– Gala przekazała mi, że jesteś fiutem i zdrajcą. Ja mogę dodać, że również mordercą.

Opuszcza palec. Nieznacznie. Przypomina kogoś, kto opowiedział swój najlepszy dowcip, ale nikt się nie śmieje. Przez chwilę wydaje się, że znów usiadzie i zamilknie, jednak dzieje się inaczej. Rzuca się na mnie. Unosi pięść.

Gdyby nic się nie zmieniło, pewnie uderzyłby mnie w twarz. Pewnie nie zdołałbym odskoczyć. Ale teraz wszystko jest inaczej. Jego postać przypomina superbohatera, unoszącego się w powietrzu, rozpychającego swoim pędem krzesła i stół. W trakcie ataku na największego wroga. Superbohatera z komiksu malowanego przez Duchampa.

Jesteśmy jak w powietrznych kulach. Ścieramy się, nie mogąc wzajemnie dotknąć swoich ciał. Napieramy na siebie, nie mogąc się chwycić. Zadać ciosu. Przypomina to jakąś dziecięcą zabawę, walkę w specjalnych kostiumach. Słysząc odgłos szamotaniny, choć do końca nie wiadomo skąd. Dźwięk przewracanych mebli, które zamiast upaść, unoszą się nad podłogą. Nawoływania, by się opamiętać.

Zebrani próbują nas rozdzielić i przez to cała scena jeszcze bardziej wygląda na atrakcję w wesołym miasteczku.

Machamy rękami, jak podczas walki z niewidzialnym przeciwnikiem. Czasami głowa jednego z nas odskakuje. Czasami głowa kogoś z pozostałych.

Ta konieczność celowania w inne miejsce, niż chce się trafić, powoduje, że nasze błędniki szaleją. Że musimy być jak załoga piratów podczas abordażu w czasie sztormu.

Nie objamy się o meble, ściany i podłogę, ale kiedy tylko znajdujemy się w pobliżu, czuć coś, co kiedyś musiało być uderzeniem. Ciało jednak nie reaguje jak wcześniej. Skóra nie pęka. Nie leje się krew.

Męczymy się, aż w końcu – choć nikt nikogo nie trzyma, wszyscy po prostu wyciągają ręce w stronę któregoś z nas, stojąc odpowiednio blisko i to już wystarczy – udaje się nas rozdzielić. Dyszemy ciężko. Padamy na podłogę, zatrzymując się kilka milimetrów nad nią.

Daję sobie minutę, by złapać oddech, po czym wstaję. Z kieszeni wyciągam pendrive'a od Gali.

– Sądziecie, że tutaj znajdziecie odpowiedź na wszystko – mówię, wyciągając rękę z nośnikiem w górę. – Ale tak nie jest. Tego, co zrobiliście nie da się już odkręcić. Urządziliście sobie grę w jengę i ostatni wasz ruch był nie dość wprawny.

Biorę zamach i wyrzucam pendrive'a przed siebie. Ten leci i ląduje na ścianie. Sposób, w jaki rozpada się jest cudowny. Jak rozpad sztucznego satelity, oglądany w obracającym się kalejdoskopie. Elementy rozchodzą się, jednak wciąż są ściśle ze sobą związane. Gdy lewitują, tuż nad podłogą, wyglądają jak zatrzymane w stopklatce.

Na ten widok Gruby otwiera szeroko usta. Kobieta-Papieros sięga po paczkę i chce zapalić, ale rezygnuje, stojąc tylko z chesterfieldem w dłoni. Widzę jeszcze, że Godard szepcze coś do stojącej przy nim blondynki. Na pozostałych nie patrzę.

– Spotkałem się z Galą, zanim Marc ją zabił – mówię, sprawdzając, jak Marc zareaguje na te słowa. Jego policzek porusza się tylko i to wszystko. – Dostałem od niej ostatnie wyliczenia, nad którymi pracowała – kontynuuję. – Nie wiedziała, z kim współpracował Marc i ja też tego nie wiem. Podejrzała, że chodziło o zbrojenia.

Sunę nad podłogą w ich stronę. Domyślają się już, że jestem duchem zwiastującym nieszczęścia.

– Z wyliczeń wynikało jasno, że jeśli testy będą kontynuowane, dojdzie do nieodwracalnych zmian. Zmian, które trudno byłoby nawet przewidzieć. Jedynym rozwiązaniem było przerwanie projektu i skupienie się na tym, co one oznaczają.

Przechadzam się przed nimi, jakbym był ich wykładowcą na studiach. Słuchają mnie ze skupieniem.

– Miałem dostarczyć jej wyniki Godardowi, by ten przekazał je któremuś z członków zespołu, któremu można by zaufać. Ale nie zrobiłem tego.

Ich oczy stają się większe. Twarze przybierają jeden wyraz. Rodzica patrzącego na krzywdę wyrządzaną ręką jego dziecka.

– Panie Kilianie – odzywa się w końcu Gruby – pozwolę sobie ocenić pana zachowanie jako wysoce nieodpowiedzialne. Pan rozumie, że jego konsekwencją jest całkowity koniec świata, jaki znamy? Że ten, nazwijmy to, r o z p a d, może pogłębiać się, a nawet emanować na strukturę całej planety i dalej? Że może być początkiem rozpadu całego wszechświata?

– Mam taką nadzieję – odpowiadam.

Gruby chrząka, ściąga okulary i przeciera je ręką koszuli wyjętą z paska. Nie mówi już nic więcej.

– Widzicie – zwracam się do wszystkich – rolą sztuki jest przekształcać świat. Czasami kończyć go. Rolą sztuki jest przesuwąć granice. Dlaczego więc artysta nie może oddziaływać na świat dosłownie? Dlaczego polem jego działania mają być tylko znane formaty? Obraz, rzeźba, muzyka... Bycie w awangardzie to poszukiwanie nowych środków wyrazu. Wystarczy poczytać historię sztuki. I ja je znalazłem. Waszymi rękami, jednym prostym wyborem, dokonałem dzieła największego w historii. Nie było przed nim niczego, co może się z nim równać, nie będzie niczego takiego po nim.

Słyszę w uszach szum krwi. Widzę ją, gdy patrzę na dłonie. Nie wydaje się płynna. Prześwituje przez strukturę skóry. Jest bardziej jak proszek układający w orientalne kształty. Dostosowujący się do nowej formy ciała.

Odruchowo poprawiam włosy, choć teraz, kiedy te wyglądają jak wielowymiarowe przedstawienie fal radiowych pulsaru CP 1919, nie ma to większego sensu.

Ustawiam się tak, by być dobrze widocznym w relacji z tego miejsca. Widzę, że wciąż jest nadawana.

– Rolą artysty jest oddziaływać na rzeczywistość – mówię – i mnie udało się to bardziej, niż komukolwiek wcześniej. Dziś jest premiera, a cały świat to mój wernisaż. Bo ja, Kilian Wilhelmi, cały świat zamieniłem w dzieło sztuki.

Nikt nic nie mówi. Nikt się nie porusza. Zastanawiam się, jak reagują pozostali. Wszyscy ci, którzy oglądają to w telewizji lub Internecie. Czy też nie mogą zdobyć się na choćby jedno drgnięcie? Czy rozumieją, czego stali się częścią?

Stoimy jak posagi. Niektórzy mają otwarte usta. Jedna z kobiet zasłania je dłonią. Godard patrzy na mnie, kręcąc głową i jest to jedyny ruch w tym pomieszczeniu. Do momentu, kiedy Kobieta-Papieros wkłada do ust trzymanego w dłoni chesterfielda i zapala.